

WALERY PRZYBOROWSKI.

CIEŃ.

(Powieść z przed stu lat).

Autor zastrzega sobie prawo przedruków i tłumaczeń.

6

Raz kawaler urwał świeżo rozkwitłą lilię białą, o co się podobno gniewał pan starosta Gaworowski, i przyniósł mi ją, za co mu wdzięcznie podziękowałam i widziałam, że wszystkie damy z zazdrością spoglądały, co mnie bardzo cieszyło i śmieszyło zarazem. Lilię tę przez nieuwagę upuściłam na ziemię, a kawaler, który stale przy mnie się znajdował, szybko ją podniósł, ukląkł i ucałował, a potem podał mi, szepcząc: „szczęśliwa ta lilia, bo na twem łonie pani spoczywa”. Pamiętam, zaczerwieniłam się wtedy, mocno zawstydzona, a wszystkie damy obecne śmiać się poczęły, ale śmiech ten nie był szczery, bo czuć w nim było żądło zazdrości.

Innym razem zawstydziłam się jeszcze bardziej wieczorem, gdy okno otworzyłam, by słuchać śpiewu słowików, który namiętnie lubiłam, a których mnóstwo w krzewach się kryło. Noc była bardzo piękna, cicha i woniejaca, a wielki, srebrny księżyc świecił na ciemnym błękitnie nieba i cudowne tworzył blaski i cienie w ogrodzie. Siedziałam w oknie zasłuchana w tryle słowicze, zapatrzona w blaski miesiąca, zatopiona w senną ciszę nocy majowej. Zamysłona nie o mężu niestety! (bo nic tu w tej spowiedzi mojej ukryć nie chcę), ale o pięknym, rycerskim, wykwiśniętym kawalerze Dolabelli. Powtarzałam sobie cicho jego nazwisko, które mi się wydawało ślicznem i wdzięcznem, jakże różne od nazwy: Dziaduski, jakby umyślnie wybranem dla isticie dziadowskiej postaci mego męża. Nagle zadrżałam, bo wśród tej ciszy ozwały się gdzieś z pośrodku krzaków niktę, słodkie dźwięki lutni, płynące niby szmer strumyka, niby jakaś harmonia cudowna. Nie wątpiłam ani na chwilę, że to kawaler, gdzieś w cieńniu ukryty, trąca delikatnie w struny lutni, i jak to Włosi nazywają, serenadę pod memi oknami wygrywa. Było to bardzo piękne, zachwyciło mnie, przyspieszyło bicie mego serca tak, że mą rękę przyciskać je musiała, bo mi aż ból sprawiało, ale przypomniałam sobie, że jestem żoną innego i że mi nie wolno słuchać tej czarownej muzyki. Z wielkim wysiłkiem woli, z zalem podniosłam się, chcąc okno zamknąć, gdy niespodzianie ukazał się wśród światłości miesięcznej kawaler Dolabella.

O mój Boże, jakże pięknie, jak po rycersku i poetycko wyglądał! Na głowie o bajnych, krucznych włosach, w szykowne się loki związających, miał duży, ciemny biret z ogromnem piórem białem, spadającym mu aż po same ramiona. Otulony był w szeroki płaszcz bez rękawów, *almawiwą* zwany, którego fałdy zgrabnie się koło giętkiej figury układały, i trzymając lutnię w lewem ręku, prawą z jej strun owe rozmarzające dźwięki dobywał. Gdy zobaczył, że ja chcę okno zamknąć, głosem, przenikającym mnie do głębi duszy, zawołał:

— O! nie uciekaj pani, nie znikaj najpiękniejsza ze śmiertelnych, nie pogrążaj mnie w rozpacz. Bo i czemuż pytam, nie chcesz wysłuchać sonetu, który na twoją cześć ułożyłem? Czyżby mi nie wolno było opiewać twych wdzięków o boska Juno! stokroć piękniejsza od tej najpiękniejszej z bogiń! O! nie uciekaj pani, pozwól niech w tę noc cudowną patrzę na ciebie, usrebrzoną blaskami miesięca.

— To rzekłszy ukląkł na ścieżce i wyciągając ku mnie dłonie, szeptał namiętnie:

— Nie! nie jestem dłużej w stanie ukrywać pożerającego mię uczucia. Julio! ja cię kocham, kocham nad życie, nad sztukę, której czcicielem jestem. Tak, kocham cię nadziemska istoto, boska, nieśmiertelna piękności, bóstwo zesłane na ziemię. *Jo te amo! amo!*

O! o! o! wszak to pierwszy raz w życiu słyszałam takie namiętne, takie palące słowa. Czułam, jak mię ogarnia jakaś beśsilność, jakieś słodkie omdlenie, jak padają w mą duszę niby rozżarzone iskry te wyrazy brzmiące kochaniem, miłością... Nie mogłam, nie miałam siły zamknąć okna. Napół nieprzytomna oparłam się o ścianę i stałam tak z rękami bezwładnie opuszczonemi, wsłuchując się w pieściwe brzmienie jego głosu, palona wstydem i żarem tych słów namiętnych. Przymknęłam oczy, jak ten, który widzi, że dach się nad nim zawala i z rezygnacją czeka, rychło śmierć mu zada.

I już nie wiem jak i kiedy się to stało, ale nagle uczułam, jak jakieś ręce obejmują mą kibić i przyciągają ku sobie, jak ktoś silnie ciśnie mię do siebie i gorące pocałunki na mej twarzy składa i do ucha mi szepcze:

— *Julie, Julie*, kocham cię, bądź moją!

I czyż ja jestem tu u winna, że moje usta na jego ustach zawisły? Wielki Boże, jesteś mi świadkiem, że nie ja tu winna, że winna jest owa noc czarowna, dysząca wonią róż, fiołków i jaśminu, wysrebrzona blaskami miesiąca, ukołysana śpiewem słowika, że wszystko zgrzeszyło, a ja nie zgrzeszyłam. I Boże, dzięki Ci niech będą, żeś mi prócz tego pocałunku, innego grzechu popełnić nie pozwolił, o dzięki Ci wielki Boże! Bo Tobie to, miłosierny Panie, zawdzięczam, że wśród tych piekących pocałunków i gwałtownych uścisków, odzyskałam nagle przytomność, wyrwałam się z objęć kochanka i zawołałam wstydem i gniewem miotana:

— Wyjdź pan stąd! wyjdź natychmiast, rozkazuję!

Ukląkł, wyciągnął do mnie błagalne ręce, szeptał miłosne słowa, zaklinał, u nóg mych się włożył, ale wszystko nadaremno. Odzyskałam całą przytomność, całą świadomość mego przestępstwa, mego obowiązku, świętości Sakramentu, łączącego mię z kim innym, i ponowiłam rozkaz, by natychmiast mą alkową opuścić. Gdy się jeszcze wahał i błagał mię nie przestawał, zagroziłam, że wyjdę i udam się pod opiekę gospodyni domu. Wtedy zgrzytając zębami, łamiąc ręce, jęcząc żałośliwie, wyskoczył przez okno i znikł w ciemnościach nocy. Bóg jeden wie, jak cierpiałam wtedy, jaki mię żal serdeczny ogarnął, ile łez owej nocy pamiętnej, niezapomnianej nigdy, wylałam, jak mię pocałunki jego paliły, jaki mię wstyd ogarniał, że mu ust dałam i na pocałunek jego, pocałunkiem odpowiedziałam...

(kilka wierszy zatartych zupełnie i widoczne plamy od łez nie pozwalają odczytać tego ustępu).

„...stałam przed nim wstydem objęta, z pewnością bardziej czerwona od róży, którą mi ofiarował, ale nie mogłam, nie byłam zdolną gniewać się na niego, za nocną scenę. Taki był pokorny, taki słodki, miły, grzeczny i delikatny, że choć usiłowałam okazać urazę, nie potrafiłam. Nie wspominał wcale o nocnej przygodzie, o pocałunku, który mię zgrozą i niewypowiedzianym wstydem przejmował, tak, że nie śmiałam mu w oczy spojrzeć, był ujmujący, jak zawsze elegancki, pełen czci i głębokiego dla mnie uszanowania. Ale z szeptów między damami, z ich uśmiechów, i z kilku słów wyrzeczonych do mnie mimochodem przez Luizę, domyśliłam się, że w pałacu wiedzą o nocnej eskapadzie kawalera Dolabelli. Ktoś widocznie nas szpiegował, bo zazdrość gotowa jest uciec się do najbrzydszych czynów, byle zadość uczynić trawiącej ją nienawiści. A mnie przecież, widoczną było rzeczą, wszystkie damy stare i młode, brzydkie i ładne, zazdrościły tego, że mą zniwoliła sobie serce kawalera. Ale czyż ja się staram o to? czy choć jeden krok robiłam, by go sobie zyskać? czy nie okazywałam mu zawsze i wszędzie, że między mną, a nim nic zająć nie może, bo ja mam męża. Prawda, przyznaję to, kochałam go i kocham jeszcze, choć przekonałam się, że jest zdrajcą, ale o tem kochaniu przecież nigdy nie powiedziałam, a co większa, niczem nie okazałam, że moje serce niepodzielnie zajął.

Owe szepty i uśmiechy mych zazdrośnic zmartwiły mię bardzo, bo czułam, że plotka o owej nocnej scenie rozejdzie się szeroko i przybrana w rozmaite dodatki, których usta niewieście nigdy nie żałują, rzuci plamę na moją cześć niewieściami. Ale zrazu nic podobnego się nie stało. Uśmiechy znikły, przestano szeptać i znaczących spojrzeń, i wszystko wróciło do zwykłego porządku, do zabaw, tańców, muzyki i wycieczek.

Wśród tego wszystkiego, pewnego dnia kawaler rzekł do mnie:

— Jesteś pani okrutną dla mnie i taką na zawsze pozostaniesz, serce mi to mówi, ale błagam cię boska Juno, zrób mi jedną łaskę, pozwól, bym na wieczystą pamięć tych chwil rozkosznych, a zarazem tak bolesnych dla mnie, unieśmiertelnił twoje przepiękne, skradzione niebu oblicze. Pozwól bym zrobić twój portret.

I po chwili dodał:

— Bo cokolwiek zazdrości Zoile i zawiść mienności może o mnie powiedzieć, zawsze ja jestem Tomasz Dolabella, wielki artysta, *anchio sono pittore!* i dzieła mego pędzla przejdą do nieśmiertelności. Niechże potomność wie, jak piękną, jak boską piękną kobietę kochałem, a kochałem niestety! bez wzajemności.

Bez wzajemności! gdyby wiedział, jak mi się dusza do niego rwała, jak głos melodyjny brzmiał

mi w uszach, jak nadśluuchiwałam jego kroków, które wśród tysiąca innych rozpoznawałam, jak żadna zabawa, żadna muzyka nie miała dla mnie uroku, jeżeli on w niej udziału nie brał; gdyby to wszystko wiedział, toby tak nie mówił. Ale tego nie wiedział, bo ja milczałam, bo mi przed oczami stała przysięga wyrzeczona przed ołtarzem, że wierną będę żoną mego męża. Ileż to śliczne, pałace, gorejące zapalę i miłością oczy kawalera na mnie spojrzwały i jakby magnetycznie ku sobie ciągnęły, zawsze przypominałam sobie staruszkę księdza, który mi ślub dawał w kościele Maryackim w Krakowie i brzmiały mi łacińskie słowa, wygłoszone przezeń nosowem brzmieniem: *accipe hoc annulum...* i ten pierścień, ta obrączka błyszczała mi na palcu niby nieustanne ostrzeżenie i przypomnienie moich obowiązków. Ale o tem wszystkim, co się w mojem biednem, zgnębionem sercu działo, kawaler nie wiedział, bo ja milczałam...

(tu plamy z łez nieszczęśliwej mojej praprababki zatarty kilka wierszy)

„...bo nie mogę zataić tego, że propozycya tak sławnego mistrza, pochlebiała mi bardzo, pochlebiało mi to, że ten, który królów i królowych, książąt i księżniczek robił portrety, chciał i mnie malować, ale na razie nie zgodziłam się na to, bo pozwoleniem takim nie chciałam podsycać tej zazdrości i tych gniewów, jakie ze wszystkich twarzy niewieścich, ze wszystkich kątów pałacu, na mnie jadę nienawiści wiały. Byłam najmłodszą, najpiękniejszą z nich, kawaler na każdym kroku mię wyróżniał, czyż to więc nie było dość powodów, by mnie te damy serdecznie nienawidzić nie miały? Więc odrzuciłam propozycję mistrza, ale tak mię prosił, tak błagał, tak zaklinał, czyż mogłam mu się oprzeć? czyż każda kobieta w mojem będącym położeniu, nie uległa by prośbom człowieka kochanego gorąco? czyż mogłam wtedy przypuścić, że w tej pięknej twarzy, w tych słowach jego nie było miłości ku mnie, tylko chęć odmalowania ładnej kobiety, czysta namiętność artysty, pragnienie zyskania sławy? czyż mogłam przewidzieć, że to był zdrajca i prosty uwodziciel. Ale niech mu to Bóg przebaczy, bo ja już dawno przebaczyłam...

Rozpoczęły się więc, w wielkiej szklanej galerii pałacu, posiedzenia, *seanse*, jak on to nazywał. Zanieśli wielką purpurową kotarę i przed nią mnie umieścili, by, jak mówił mej sńiadziej urodzie nadać ożywioną karnację. O! niezapomniane, do śmierci pamiętne chwile! Taki był piękny, taki ujmujący, taki blask geniusza bił z jego czoła i z jego oczów, że zapominając o wszystkim, o świecie całym, oddałam się zupełnie rozkoszom tego słodkiego sam na sam. Zwykle „pozowałam“ (jego wyrażenie) od wczesnego ranka do południa i portret szybko postępował, i niebawem ujrzałam wykończoną moją głowę na dziwnem tle, jakby jakiegoś pożaru, jakiegoś burzy ognistej. Było to bardzo piękne, ale robiło na mnie smutne wrażenie i pytałam się mistrza, dla czego mnie w ten sposób przedstawił:

— O, pani — odrzekł — wywołałaś w mem sercu nieznana mi dotąd burzę, spaliłaś je na popiół. Niechże więc twoja śliczna główka, ma za tło burzę i pożar daleki.

„Ale niestety! nie długo miały trwać te rozkosze i to zapomnienie; niebawem bowiem ujrzałam w pięknym mistrzu, który mi się wydawał być ideałem, uwodziciela, straconego do piekieł buntowniczego anioła. O! jakże gorzką była ta chwila, jakże wspomnienie jej rani dziś jeszcze moje biedne, utrapione serce!

„Pewnego dnia, a na dworze było chmurno i wietrzno i deszcz pokrapywał, dla tego seans nasz był krótki, bo jak mówił kawaler, brak mu światła, a przytem, ponieważ wszyscy siedzieli w domu, więc lękając się ich szpiegowstwa, sama prosiłam o przerwanie posiedzenia — otóż, tego dnia, zapomniawszy jakiegoś drobniaczku, wstąpiłam, którą bardzo lubiłam, w wiejskiej galerii oszklonej, gdzie na sztalugach zakrytych oponą stał mój rozpoczęty portret, wybiegłam ze swego pokoju i skierowałam się ku miejscu naszych słodkich seansów. Było tu, pusto i cicho. Deszcz gęsty począł padać i dzwonił po szklanym dachu galerii, wiatr posępnie świszczwał i miotał ogromnym wiązem, tuż przy oknie rosnącym, a mnie jakoś bardzo smutno było na duszy. Miałam bowiem taką naturę, że niepogoda, brak słońca i jasności zawsze wielką tęsknotę i zniechęcenie wywoływały we mnie, tak że nieraz rady sobie dać nie mogłam i płakałam rzewnie, o co się mój mąż zawsze gniewał, więc zwykle ukrywałam się przed nim z memi łzami i melancholią. I teraz to ponure, monotonne dzwonienie deszczu po dachu, ten świst wichru i szum liści wiązu, wprowił mię w taki jakiś żal, że szukając owej wstążki, mimo-